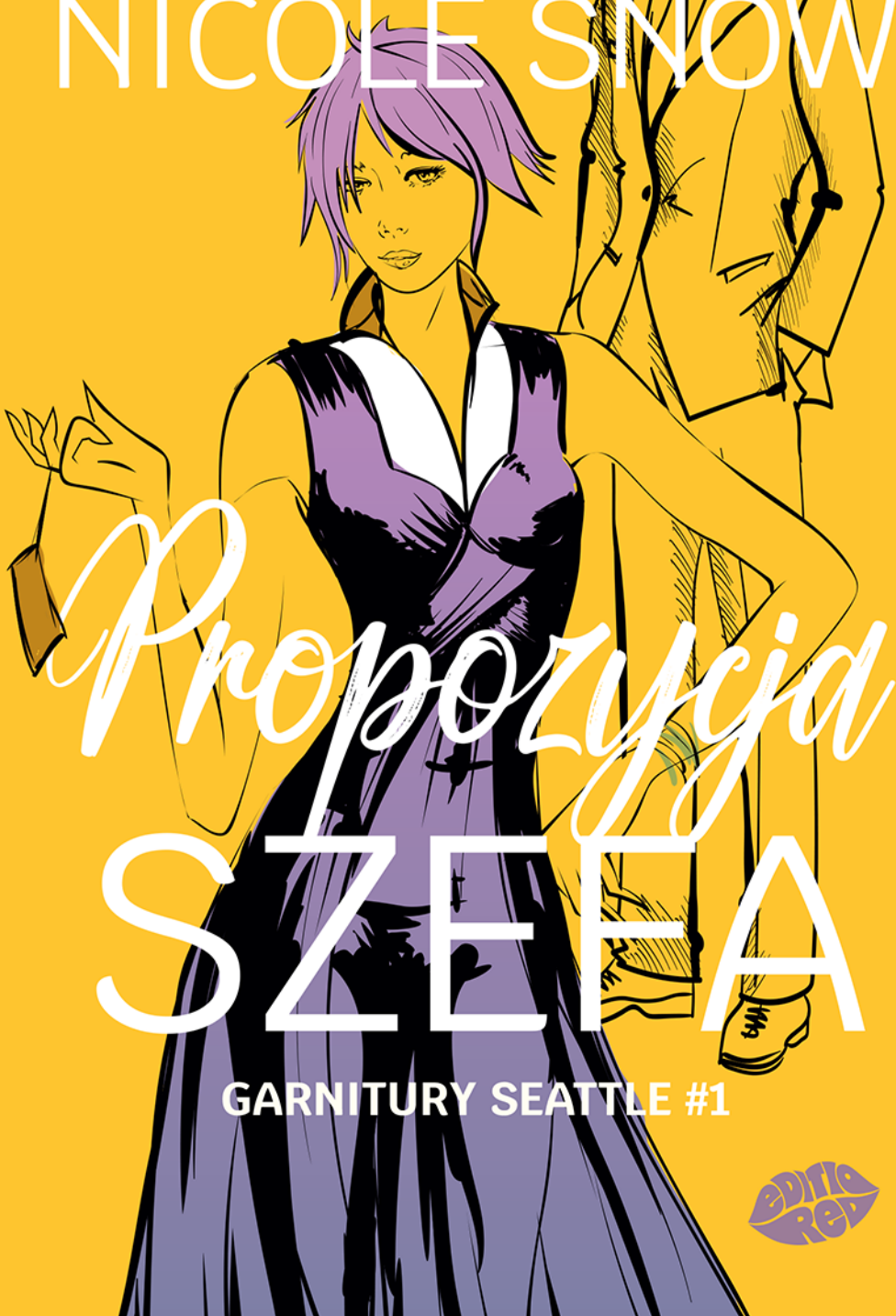


BESTSELLEROWA AUTORKA WALL STREET JOURNAL

NICOLE SNOW



Propozycja

SZEFKA

GARNITURY SEATTLE #1



Tytuł oryginału: One Bossy Proposal (Bossy Seattle Suits #1)

Tłumaczenie: Marta Czub

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-289-1035-5

Copyright © 2022. ONE BOSSY PROPOSAL by Nicole Snow
The moral rights of the author have been asserted.

Translation copyright © 2025 Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/progs1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

I
GDY ZNUŻYŁO MNIE DUMANIE¹
(DAKOTA)



Promienie wiosennego słońca nad Seattle są jak sztylety przesywające mój wewnętrzny mrok.

Jestem smutna i głodna, a to niebezpieczne połączenie.

Upłynął dokładnie rok, odkąd pogrzebałam swoje serce – a wraz z nim skończonego drania, który wdeptał je w ziemię, oblał benzyną i spalił na zwęglony wiór – i mam wrażenie, że od tego czasu minęła cała wieczność.

Z niektórych rzeczy można się podnieść tylko częściowo.

Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina.

Przestań się nad sobą uzalać, Dakota. Bez niego ci lepiej. Znajdujesz się setki kilometrów od domu, masz nowe życie, powtarzam sobie.

Ślinienie się na widok pyszności wystawionych w witrynie z wypiekami pomaga.

To prawda. Odbudowałam swoje życie. Do pewnego stopnia.

Porzuciłam małomiasteczkową monotonię i tamtejsze zale. W przyszłym tygodniu idę na rozmowę o świetną pracę, a jeśli jej nie dostanę, to będę szukała dalej, póki nie trafi się coś z wypłatą godną dużej dziewczynki i realną szansą, żeby wprawić w ruch moje pisarskie mięśnie.

¹ Fragmenty wiersza *Kruk* Edgara Allana Poe w przekładzie Stanisława Barańczaka – *przyp. red.*

Gdybym latem zeszłego roku nie uciekła w potoku łez, nie byłoby mnie teraz tutaj w Seattle, gdzie praktycznie *ślinię* się na widok napakowanych cukrem przysmaków, z których każdy zdaje się mnie przywoływać.

Miałabym też znacznie mniej czasu na pisanie i wciąż tkwiłabym na stażu w tej kanciapie, która stroi się w piórka agencji reklamowej.

Niech żyje złamane serce.

Niech żyje Jay Foyt.

Jego głupota pozwoliła mi zacząć nowe życie.

– Jest pani głodna czy przysłała pani tylko podziwiać? Podać coś? – Za gablotą ze słodkościami pojawia się baristka i parska dziewczęcym śmiechem.

– Słucham? Ojej, przepraszam... – *Do diabła, Dakota, przestań bujać w obłokach.* – Poproszę bułeczkę Regisów i małe karmelowe latte.

– Już podaję! – Dziewczyna uśmiecha się i chwytając szczypcami ogromną cynamonkę skąpaną w lukrze. Biała warstwa jest tak gruba, że chyba sięga innej strefy czasowej. – Ma pani farta, upolowała pani ostatnią! Skończyły się. Proszę sobie wyobrazić, że w porannej dostawie zabrakło cynamonu.

Ale ze mnie szczęściara.

Gdyby tylko szczęście do drożdżówek przełożyło się na inne sprawy. Mogłabym na przykład wygrać los na loterii albo jakaś gruba ryba wydawnicza mogłaby zachwycić się moimi wierszami. Zadowolilibym się nawet przyzwolitą randką z Tindera z facetem, któremu nie zależy tylko na jednym.

Nie. Proszę o zbyt wiele.

Dziś Fortuna spełnia pomniejsze życzenia. Zapewnia ostatni dostępny kawałek lepkiej cynamonki i ćwierć kilo więcej w udach.

Zawsze to jakiś początek, prawda?

Podchodzę do kasy i płacę.

– W takim razie cieszę się, że udało mi się kupić, zanim się skończyły – mówię, przesuwając kartę. – Będę się nią delektować...

– Jak to się skończyły? – Gdzieś za moimi plecami dudni czyjś głęboki głos. – Przychodzę tu dokładnie o tej samej porze od Bożego Narodzenia i zawsze *były*.

Jasny gwint.

A myślałam, że to ja mam zły dzień...

Odwracam się, żeby zobaczyć, co to za ogr wychynął ze swoich mozarów, by się pieklić z powodu braku cynamonki.

– Przykro mi. Ta pani kupiła ostatnią – oznajmia baristka, marszcząc dobrodusznie brwi. – Z jakiegoś dziwnego powodu brakuje cynamonu...

– Chce mi pani powiedzieć, że w całej kawiarni nie ma ani jednej bułeczki Regisów? – Mężczyzna jest wysoki, dobrze zbudowany i niezmiernie wkurzony.

– No nie ma. Tak jak powiedziałam... brak cynamonu. – Baristka uśmiecha się ze współczuciem. – Obawiam się, że kto pierwszy, ten lepszy. Możemy dla pana jutro jedną odłożyć, jeśli będzie pan miał ochotę podejść.

Baristka kiwa mi rzeczowo głową.

Ogr odwraca się do mnie gwałtownie i patrzy takim wzrokiem, jakby mógł ciskać oczami śmiercionośne gromy.

Stan najwyższego ostrzeżenia.

Wybuchowością facet dorównuje przeciętnemu ogrowi, ale z wyglądu jest zupełnym przeciwieństwem Shreka. Gdyby zielony stwór miał równie powalające mięśnie brzucha i opaloną skórę zamiast intensywnej barwy brukselki, to być może dorównałby urodą Seksownemu Shrekowi stojącemu naprzeciwko mnie.

Oddech więźnie mi w gardle.

Chyba nigdy nie widziałam oczu w bursztynowym kolorze whisky, błyskających w porannym świetle.

Gdyby gość nie warczał jak wściekły rosomak, to *być może* byłby bardziej nęcący niż ciepła drożdżówka w mojej dłoni. Chłód jego spojrzenia wspaniale kontrastuje z ciemnymi włosami, zmarszczoną brwią i tak wyraźnie zarysowaną szczęką, że zawstydzą zwykłych śmiertelników.

Na oko ma niewiele ponad trzydzieści lat. Jego twarz wygląda młodo, lecz jednocześnie maluje się na niej doświadczenie.

Jego rysy w pełni pasują do budowy ciała. Facet jest tak umięśniony, jakby grał w futbol, a ubrany tak, jakby przed chwilą zszedł z planu *W garniturach*.

W swoich ubraniach od Gucciego wygląda jak stworzony do grzechu.

Jest wcieleniem kobiecych fantazji o mrocznym wampirze – a może tylko moich.

Kiedy ma się na nazwisko Poe – i jest się bardzo, *bardzo* daleką krewną Edgara Allana – to dość normalne.

Siłą rzeczy zastanawiam się, czy obudził się dziś rano z parującym kubkiem chamstwa, że robi tak paskudną minę.

Zaczynam dostrzegać pewien schemat w tym mieście. Dlaczego Seattle produkuje zrzędy o wyglądzie bogów seksu?

Czy to skutek tutejszych opadów?

Co więcej, facet jest ode mnie znacznie wyższy; przewrażliwiony na własnym punkcie siłacz jak z obrazka, który nabrał przekonania, że ma prawo ryczeć na świat, jeśli ten nie pada do jego stóp.

Choć mężczyzna jest irytująco przystojny, a jego garnitur kosztuje zapewne połowę mojej rocznej pensji, to siłą rzeczy nie mogę się mu nadziwić. Co sprawia, że facet jest taki rozeźlony tylko dlatego, że zabrakło dla niego porannej dawki cukru?

Jasne, sama z chęcią przyznam, że dla tych cynamonek niemal warto dać się ponieść. *Niemal.*

Podczas gdy Hades wbija we mnie uporczywe spojrzenie, ja w odpowiedzi przewracam oczami i przechodzę kawałek dalej, by zaczekać na kawę.

Bezcenny dystans.

Pomarudziwszy przez pełną minutę, mężczyzna przesuwa kartę niczym sztylet przy kasie, a potem idzie za mną i staje z boku kontuaru.

O-o.

Chyba nie dojdzie do konfrontacji?

Nie *odważy się* tego zrobić.

Och, ale on już stoi przy mnie.

Nadal piorunuje mnie wzrokiem tak, jakbym zabiła mu pierworodnego syna.

Wyciąga portfel, otwiera go i wydobywa z niego szeleszczący banknot, który następnie wyciąga w moim kierunku, jakby się palił.

– Pięćdziesiąt dolarów – warczy Seksowny Shrek.

– Słucham?

– Pięćdziesiąt dolców. Zapłacę pięć razy tyle w ramach rekompensaty.

– Że co? – Mrugam, bo choć słyszę, co mówi, to zupełnie go nie rozumiem.

Mężczyzna wskazuje na białą papierową torebkę w mojej dłoni, w której spoczywa mój prywatny skrawek nieba.

– Za pani bułeczkę Regisów. Odkupię ją od pani.

– Momencik, czy pan... Czy panu naprawdę aż tak bardzo zależy na odkupieniu mojej cynamonki?

– A nie to właśnie powiedziałem? Poza tym to nie jest cynamonka, tylko *bułeczka Regisów* – poprawia mnie ostro. – No wie pani, ta, za którą człowiek dałby się zabić. Oryginalna receptura stworzona w Heart's Edge w Montanie, zatwierdzona przez przerażającego, poparzonego faceta, którego pokazywali w wiadomościach ogólnokrajowych i który regularnie pojawia się w rolach epizodycznych w różnych filmach.

Parskam śmiechem. Dokładnie takie obietnice składają reklamy Sweeter Grind w związku z nieziemską bułeczką Regisów, dziełem Clarissy i Leo Regisów, właścicieli małomiasteczkowej cukierni rozslawionej na skutek jakichś dziwnych, dramatycznych wydarzeń sprzed kilku lat.

– *Mniejsza z tym* – warczy ogr. – Chce pani dobić targu?

– Powinien pan występować w reklamach – pryham. – Zaraz, a nie o to przypadkiem chodzi? To nie jest jakiś dziwny chwyt marketingowy?

Wstrzymuję oddech. To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego ten chodzący model „GQ” wpada w istny szal z równie trywialnego powodu.

Poza tym dziś przypada rocznica najbardziej upokarzającego dnia w moim życiu.

Ta drożdżówka jest mi potrzebna tak samo jak wiara w to, że jest jeszcze na tym świecie coś dobrego. Poza tym co za psychol próbuje odkupić od kogoś cynamonkę za pięciokrotność jej ceny?

– Czy ja pani wyglądam na komedianta? – warczy facet, przewracając oczami. – Pięćdziesiąt dolarów. Łatwy zarobek. Zwykły handel.

– Facet, chyba zwariowałeś – mówię szeptem.

– Facetko – odpowiada ostro, z nieco większą zapalczywością – zapewniam, że nie. Muszę mieć tę bułkę i jestem gotowy hojnie za nią zapłacić. Podejrzewam, że pani pieniądze bardziej się przydadzą niż mnie.

Pryham tak głośno, że aż boli mnie twarz.

Oczywiście musisz mi to wypominać, co? Pewnie powinnam być zdumiona, że ty, pan i władca owoładnięty drożdżową obsesją, znizasz się do rozmowy z nami, „zwykłymi zjadaczami chleba”.

– Ale miło, bułeczkowy królu. A co dostanę w zamian za szarlotkę? Laptopa? – Kręcę głową.

Posyła mi spojrzenie, które jeszcze dobitniej pokazuje, że ma dość mojego gadania.

– Dakota! – Chłopak za barem wywołuje mnie i stawia na blacie moją kawę.

Ekstra. To znak, że mogę opuścić ten dom wariatów i wyjść znów na wiosenne powietrze, gdzie świergoczą ptaki, kwitną kwiaty i nikt nie robi burdy z powodu braku cynamonu.

Biorę kubek i ruszam w kierunku drzwi.

– Niech pani zaczeka! – woła za mną Seksowny Shrek. – Dakota.

Uch.

Moje imię nie powinno brzmieć tak cudownie ostro w ustach jakiegokolwiek mężczyzny. A zwłaszcza takiego, który proponuje nieznanym absurdalne kwoty w zamian za drożdżówki.

Wiedząc, że przyjdzie mi tego pożałować, odwracam się twarzą do niego.

– Co? – pytam krótko.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

– No pewnie. Bo nie dobijemy żadnego targu – odpowiadam ostro i znów się odwracam.

No dobra. Wcześniej miałam zwyczajnie ochotę opchać się tą lepką od lukru bułeczką. Teraz natomiast *potrzebuję* tej cholernej cynamonki jak powietrza.

Jeśli zrobię na złość najprzystojniejszemu wariatowi, jaki wypęłzył z moczarów, później będę mogła się z tego pośmiać.

Zgodnie z obietnicą złożoną baristce będę delektować się smakiem drożdżówki, a jednocześnie odrobinę mniej pławić we własnym nieszczęściu, pomna, że wiodę teraz lepsze życie – życie, w którym jest najwyraźniej miejsce na przystojnych stalkerów chcących mi na siłę wcisnąć pieniądze do ręki.

– Proszę zaczekać. Ja potrzebuję tej bułki bardziej niż pani. Przysięgam – oznajmia facet szorstko, a potem łapie mnie za ramię i odwraca przodem do siebie.

Odrącam jego rękę, jednocześnie poirytowana i zaskoczona.

– Zwariował pan. Jeśli jeszcze raz mnie pan dotknie, oskarżę pana o napad rabunkowy. To zwykła cynamonka. Niech pan wyluzuje i przyjdzie jutro, kiedy będzie świeża dostawa. – Siorbię w panice swoje latte i wychodzę za drzwi.

Seksowny Stalker Shrek nie daje się zbyć.

Wychodzi w ślad za mną na zalane słońcem ulice Seattle. Bierze głęboki wdech.

– Siedemdziesiąt pięć! – woła.

– Co?

– Siedemdziesiąt pięć dolarów.

– Yyy, nie. – Pospiesznie podchodzę do stojaka na rowery i jedną ręką odpinam moje dwa kółka, w drugiej trzymając bułeczkę Regisów i latte.

– Dam nawet sto dolarów – krzyczy za mną.

Święta Panienko. Jak dużo jest gotów zaoferować?

– Sto pięćdziesiąt – podbija dwie sekundy później, a ja zbieram szczękę z chodnika.

Ogarnia mnie przerażenie. Obawiam się, że porzucamy strefę zwykłego ekscentryzmu na rzecz klinicznego szaleństwa.

Poniekąd wolałabym go nakłonić do dalszego gadania, byle nie zaciągnął mnie do swojej nory. Wyobrażam sobie jakiś magazynek wypełniony po sam sufit zgniecionymi pudełkami po cynamonkach.

– Czy pan naprawdę właśnie zaproponował mi sto pięćdziesiąt dolarów za cynamonkę? – Wsuwam kubek z latte do uchwytu przy kierownicy i wsiadam na rower.

Facet posyła mi mroźne spojrzenie, jakby wiedział, że ma mnie teraz w garści i że właśnie zaakceptowałam jego szczodłą ofertę.

– Nie ma za co. Może pani zamówić ubera, a i tak jeszcze sporo zostanie.

Mierzę go wzrokiem z góry na dół, celowo zatrzymując spojrzenie o sekundę zbyt długo na wypolerowanych skórzanych butach. W innym miejscu i czasie upiłabym solidny łyk kawy, a następnie obryzgałabym mu nią buty, ale... już tak nie postępuję.

Mam swoją godność. I zamierzam zyskać jej odrobinę więcej, kiedy bezpiecznie się stąd oddalę.

– Być może będzie to dla pana szokiem, ale nie wszyscy czczą pieniądze, królu Midasie – oznajmiam.

– Co to ma niby znaczyć? – prychnął mężczyzna, prostując masywne barki.

– Jest pan szurnięty. Naprawdę nienormalny. – Zerkam dla pewności na jego nadgarstki, autentycznie ciekawa, czy zobaczę na nich szpitalną opaskę.

– Nie jestem. Próbowwała pani kiedyś bułeczki Regisów? Największy krytyk kulinarny w Seattle określił je jako... Jak to szło? Gastroorgazm najwyższej kategorii?

Moje wargi drgają. Staram się z całej siły nie wybuchnąć zażenowanym śmiechem.

– Człowieku, *nie* będę z panem rozmawiała na temat gastroorgazmu – oświadczam.

– Zupełnie nie w tym rzecz – odpowiada ostro. – Pomagając mnie, pomoże pani sobie. Nigdy więcej się nie spotkamy, a pani będzie o trzysta dolarów bogatsza.

– Trzysta? – powtarzam powoli, rozdziawiając usta.

– Dobrze mnie pani słyszała. – W jego wzroku błyska nadzieja i poczucie triumfu. Facet sięga po portfel.

Bądź silna.

Niewidoczny krzyż.

Święcona woda latte.

Nie daj się zwieść na pokuszenie Lucyferowi.

– Widzi pan, jest pan zupełnie nieprzekonujący. Tylko potwierdza pan swoją niepczytalność. – Przyglądam się mu nieufnie. Może za tym wszystkim kryje się jakaś nieprawdopodobna historia. Może facet ukradł ten garnitur i naprawdę uciekł z zakładu psychiatrycznego.

To by było najbardziej wiarygodne wyjaśnienie tego, co się tutaj dzieje.

I szczerze mówiąc, o wiele mniej przerażające niż świadomość, że faceci o wyglądzie miliarderów są gotowi poświęcać czas na odwróconą wersję okradania nieznanym z zakupionych przed chwilą drożdżówek.

– Pięćset dolarów, do licha ciężkiego – mruczy typ. – To moja ostateczna oferta.

Moja szczeka odrywa się od twarzy.

Pięćset cholernych zielonych?

To więcej niż rata pożyczki studenckiej w tym miesiącu. Niemal połowa mojego czynszu. Kusi mnie, żeby zaprzedać duszę diabłu, ale palce zaciskają się mocniej na torebce, domagając się ode mnie odwagi.

Nie dzisiaj, Kawiarniany Szatanie.

Na jego usta wypływa uśmiech, który wygląda niemal komicznie błagalnie.

Niech mnie. Jakimś cudem typ wygląda jeszcze ponętniej, kiedy się uśmiecha i robi takie słodkie oczy. Taką twarz należałoby opatrzyć ostrzeżeniem.

– Widzę, że to panią zainteresowało – szepcze.

– Czyżby?

– Otworzyła pani usta ze zdziwienia – zauważa, a ja jestem boleśnie świadoma, że patrzy przy tym na moje wargi. Nie wiem nawet, co w związku z tym zrobić.

Facet podchodzi do mnie i sięga po papierową torbę, starając się wykorzystać chwilę mojej słabości.

– Ej! Nie! Mówiłam, że się nie zgadzam, szajbusie. – Nie podoba mi się, że on tak po prostu naruszył moją przestrzeń osobistą. Poza tym nie pozwałam sobą pomiatać. Taki mam brzydki nawyk. Zwłaszcza na przestrzeni minionego roku.

Ale oprócz tego z tyłu głowy brzęczy mi myśl, że ten mężczyzna niczym się nie różni od Jaya.

Jest tylko bogatszy, silniejszy, przystojniejszy i być może bardziej arogancki.

Nie dopuszczając do tego, by ta cynamonka trafiła w jego brudne łapska, Dakota Poe odniesie małe zwycięstwo w walce z rodzajem męskim. W walce z każdym kutasem, który obnosi się ze swoim samolubnym ego jak z kijem baseballowym.

– Jestem całkowicie normalny. Po prostu chcę dostać tę bułkę i nie odejść z pustymi rękami – wyjaśnia.

– Wie pan co, obudziłam się dziś z przyływem weny. Ale nie podejrzewałam, że życie podsunie mi prosto pod nos inspirację pod postacią kogoś równie absurdalnego.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale mnie potrzebna jest ta bułka, a pani pieniądze. Dobijemy targu?

– Dlaczego jakoś mnie nie dziwi, że nie rozumie pan, jak się mówi do pana po ludzku? Czy jest pan typem faceta, który zapłacił pięćset dolarów jakiemuś biednemu geekowi, żeby poprawił panu oceny?

Mężczyzna obrzuca mnie spojrzeniem rozjuszonego buhaja.

– Niech pani lepiej uważa, panno mądrałińska. Nic pani o mnie nie wie. Dobijmy targu i niech każde z nas pójdzie w swoją stronę dla dobra ciśnienia krwi nas obojga. – Facet posyła mi powolne oceniające spojrzenie i przesuwa wzrok w górę mojego ciała z natężeniem, od którego zaczynam drżeć. – Przyjechała pani na rowerze. Niech mi pani nie mówi, że nie przydałoby się pani kilkaset dolarów.

– A może jestem nadziana, bo produkuję zieloną energię, i mój wizerunek musi utożsamiać się z zasadami firmy? – odpowiadam. – Poza tym jazda na rowerze pomaga spuścić trochę pary. Powinien pan spróbować i samemu się przekonać.

Krzywiąc się ze złości, facet znów próbuje złapać papierową torbę.

W ostatniej sekundzie się odsuwam i odpycham jego wielką dłoń.

Mam tego serdecznie dość.

Mrużę oczy i posyłam mu wściekłe spojrzenie, a potem wyciągam z torby ciepłą cyminonkę. Niespiesznie odgryzam potężny kęs.

Przeżuwam tak głośno, jak tylko jestem w stanie, cmokając, jakbym grała na wojennych werblach.

Z moich ust wrywa się najbardziej gastroorgazmiczne „mmmmmmmmmm-mmmm!”, jakie kiedykolwiek z siebie wydałam.

Zaraz potem wrzucam ugryzioną bułkę z powrotem do torebki, obliżuję palce i wycieram bezceremonialnie dłonie o dzinsy.

– Widzi pan? Nie wszystko da się kupić. Nie dobijemy żadnego targu. Dobry Boże.

Widziałam w życiu niejednego egoistę, ale ten tutaj to szczyt wszystkiego – próbuje odebrać mi cyminonkę, której ja nie chcę mu oddać. Furia, która wypływa na jego twarz, kiedy daję mu jednoznacznie do zrozumienia, że nie dostanie upragnionej drożdżówki, śmiertelnie przeraziłaby najlepszą nauczycielkę wychowania przedszkolnego.

Jego szczęki się zaciskają.

Niedźwiedzie brązowe oczy stają się jaśniejsze, gorętsze, *głośniejsze*.
Słyszę, jak obrzucają mnie stekiem wyzwick.

To nie w porządku.

Kiedy jest taki rozwścieczony, robi się sto razy przystojniejszy niż na pierwszy rzut oka.

Jego wzrok zsuwa się na moje usta i zostaje tam na jedną, zapierającą dech w piersiach sekundę.

Jego spojrzenie jest tak ciężkie, że obejmuję się rękami, starając się ukryć przed natężeniem wzroku tego urażonego bożka, bo mógłby mnie chyba zamienić w słup soli.

Chcę coś powiedzieć, aby przerwać nieprzyjemną ciszę jakimś żartem, ale nie jestem pewna, czy to możliwe.

Czy powinnam mu uświadomić, że jest uprzywilejowanym dupkiem?

Że ma wielkie szczęście, że nie splunęłam mu w tę jego nadąsaną gębę kawałkiem cynamonki wycenionym na pięćdziesiąt dolarów?

To jednak nie ma znaczenia.

Nie udaje mi się w porę kazać mu się odwalić w wymyślny sposób, bo on już odwraca się do mnie masywnymi plecami i odchodzi, mamrocząc coś cicho pod nosem.

Skręca na rogu i idzie dalej, nie oglądając się za siebie.

Chryste Panie. Czy facet z taką ilością pieniędzy i z jeszcze większym ego nie powinien mieć samochodu?

Zresztą.

Nie moja sprawa.

Muszę jechać do pracy.

Czynsz nie zaczeka, aż uporam się z moim osobistym rocznicowym piekłem ani ze spotkaniami z obcymi mężczyznami, którzy toczą ze mną boje o gigantyczne drożdżówki.

Ruszam do biura z trzema czwartymi bułeczki Regisów. Zamierzam delektować się tym idealnym wypiekiem, ale fakt, że udało mi się ochronić cenny nabytek przed Seksownym Shrekiem, zapewnia mi równie duży wyrzut endorfin co cukrowy haj.

Kapitan Gburek i jego męskie fochy wkurzyły mnie do tego stopnia, że pedałuję jak szalona. Docieram do biura ze sporym zapasem czasu i pozeram w całości lukrowaną cynamonową pyszność, a potem siłą zmuszam się do udziału w biurowym wyścigu szczurów.

Jeszcze tylko kilka tygodni i już cię tu nie będzie. Masz wielkie plany. Wytrzymasz.

Później powtarzam sobie w kółko tę samą mantrę, kiedy osoba, która zarabia dwa razy więcej ode mnie, popełnia błąd skutkujący rozwaleniem całego projektu.

Typowy dzień na stanowisku copywriterki, gdzie ilość pracy jest niewspółmierna do zarobków.

Siedzę w robocie do zmroku, desperacko próbując ratować sytuację.

Żałuję, że cynamonkowy fart i euforia związana z odniesionym zwycięstwem nie trwały dłużej.

Zamiast tego wracam do smutnej rzeczywistości, gdzie jedyną pisaną przeze mnie poezją jest tworzona w pocie czoła oda do rozwiązywania problemów innych.

NIE JESTEM NAWET ZŁA.

Nie jestem.

Minęła dwudziesta pierwsza i jest już ciemno, kiedy wycieńczona włokę się z powrotem do maciupkiego mieszkania. Przy odrobinie szczęścia wkrótce rozpoczną dwutygodniowy okres wypowiedzenia.

Nie poddawaj się, powtarzam sobie.

Nie zawadzi zrobić na koniec dobre wrażenie, a potem czmychnąć tam, gdzie trawa jest bardziej zielona.

Zatrzymuję się przy skrzynce pocztowej, nim rozpoczną kolejny samotny wieczór. Za taki stan rzeczy należą się podziękowania mężczyznom, zapatrzonym w czubek własnego nosa gnojkom, którzy lubią potykać się o własnego fiuta.

Wsuwam klucz do zamka w skrzynce i przekręcam.

Ze skrytki wylewa się rzeka papierzysek. Udaje mi się złapać większość z nich, nim spadną na podłogę.

Wszystkie ulotki trafiają prosto do kosza na papier. Zostaje mi pięć kopert. Powiadomienie o spisie ludności, cienki list od czasopisma literackiego z Portland, po którym od razu domyślałam się odrzucenia, wysłana ze współczucia pocztówka od babci upozorowana na zwykłe „cześć” oraz...

O nie.

Wciskam ostatnią kopertę do torebki i opieram się o ścianę, starając się nie krzyknąć.

– Cześć, Dakota! Co się stało? Tylko mi nie mów, że dopiero wracasz do domu – odzywa się pogodny głos.

– O, cześć. – Odwracam się przez ramię, a Eliza podchodzi do mnie, jak zwykle uśmiechając się rozbrajająco. – Tak, siedziałam do późna. Zresztą nieważne. Zostało mi jeszcze tylko kilka tygodni.

– Jadłaś kolację? – pyta. Nim zdążę jej odpowiedzieć, już mówi dalej: – Wyciągnę tylko pocztę i zapraszam do mnie. Powinnaś spróbować mojej nowej mieszanki.

– Dochodzi dziesiąta. Trochę późno na kawę. – Burczy mi jednak w brzuchu, co mi przypomina, że jeszcze nic nie jadłam, a jutro czeka mnie kolejna wczesna pobudka.

– W życiu trzeba ryzykować.

Parskam śmiechem, a mój żołądek podejmuje decyzję za mnie. Kawa i smaczne przekąski brzmią bardziej zachęcająco niż kolejna porcja zielonego fettuccine z zamrażarki. To też dobra metoda na to, żeby odwlec w czasie to, co nieuniknione.

– No dobra – ustępuję.

Eliza otwiera swoją skrzynkę i wyciąga dwie koperty, a potem wlecze mnie za rękę do swojego mieszkania.

– Musisz spróbować palonego pekana. Po prostu padniesz.

Zanim jeszcze na dobre otworzy drzwi, uderza mnie mocny zapach kawy.

Ale nie tylko kawy. Mieszkanie Elizy zawsze pachnie intensywną mieszanką słodczy i subtelnych owocowych nut. Wszystko, co dobre w życiu, jest skondensowane w kompozycji deserowych zapachów.

– Czy ja wyczuwam wanilię? Pycha.

Eliza uśmiecha się szeroko.

– Twoja ulubiona. Zrobiłam mieszankę z wanilią specjalnie dla ciebie. Jadłaś już? Bo mi nie odpowiedziałas.

Nie i zaraz odgryzę sobie własną rękę. Ale nie chcę tego mówić.

– Co pasuje do kawy? – pyta Eliza i porusza brwiami, jakby to była kartkówka.

– Eee... bajgle?

Przewraca oczami.

– Też wymyśliłaś, Dakota. Ty to potrafisz zepsuć najlepszy kofeinowy haj. Parskam śmiechem.

– Nie jestem takim koliberkiem jak ty, który żywi się samym cukrem. Oświeć mnie.

– Babeczki! Godzinę temu upiekłam całą blachę wielkich, świeżych jagodowych muffinek. Posmakują ci.

Tu mnie ma.

Jak można nie lubić tego, że się mieszka nad szurniętą kofeinową naukowczynią, która zawsze ma ochotę na filiżankę idealnego naparu uzupełnioną o najpyszniejsze domowe wypieki.

Zdejmuję buty i wchodzę do jej małego mieszkania, niemal równie zagraconego jak moje.

W części dziennej jest leżanka i dwa krzesła, a z boku nieduża kuchnia. Eliza podchodzi do kuchennego baru i rzuca pocztę na blat.

Moja kawalerka przypomina standardowe mieszkanie wielkości znaczka pocztowego, ale jej kuchnia całkowicie różni się od mojej.

Szklane zlewki, słoiki, puszki z kawą, mocne lampy i maleńkie roślinki w doniczkach sprawiają, że to miejsce przypomina raczej laboratorium, a nie kuchnię.

– Czy te rośliny są nowe? – szepczę.

Niemal boję się spytać.

Sąsiadka się uśmiecha.

– Próbuję wyhodować hybrydowe ziarno. Jak dotąd bez spektakularnych efektów.

– Cholewcia. Czyli przeszłaś na wyższy poziom? Hodujesz własną kawę w mrocznym Seattle, żeby podtrzymać swój nałóg?

– Nałogiem może być alkohol. Kawa to *życie*. – Przyjaciółka rozkłada ramiona i z uczuciem zatacza rękami po przypominającej laboratorium kuchni. – To nie jest zwykłe hobby. Pewnego dnia wszystko, co tu wymyślałam, będzie stanowiło trzon Liza’s Love.

– Obiecuję, że kiedy otworzysz Liza’s Love, przeczytam swoje wiersze podczas *open mic*.

– Goście będą mogli się prezentować co wieczór. – Kiwa palcem, jakby to już zostało postanowione.

– Świetnie. W takim razie będę przychodziła codziennie, a ty będziesz mnie karmić jak włóczęgę, który właśnie przegrał ostatnią partię pokera.

Eliza ze śmiechem wchodzi do kuchni i nalewa kawę do trzech małych szklanek, a następnie nakłada na talerz stos babeczek. Stawia wszystko na barze oddzielającym kuchnię od salonu.

– Powiedz, która ci najbardziej smakuje – prosi.

Wypijam jednym haustem pierwszą kawę i marszczę nos.

– Uch. Ta smakuje jak zwykle... kawa. Przydałoby się ją trochę posłodzić.

Eliza piorunuje mnie wzrokiem.

Unoszę dłonie w obronnym geście, a potem piję z drugiej szklaneczki.

– O raju, ta jest pyszna – mruczę, czując na języku spienioną słodycz.

– Co wyczuwasz? – Sąsiadka przygląda mi się z podekscytowaniem, trzymając przed sobą złożone ręce.

– Wanilię. Nutę słodyczy. Odrobinę śmietanki. Coś prawie jak... smak ciasta?

Eliza się uśmiecha i kiwa z zadowoleniem głową jak nauczycielka.

Przeplukuję usta wodą, a potem biorę łyk z trzeciej filiżaneczki i cmokam.

– Hm. Cynamon?

– I pekany. – Eliza kiwa głową.

– Ciekawe połączenie – stwierdzam, mlaskając lekko. – Ale chyba druga smakowała mi najbardziej.

– Należę ci cały kubek kawy tortowej. Ze śmietanką i cukrem?

– Z samą śmietanką.

Eliza otwiera szafkę, wyciąga zwykłych rozmiarów kubek i zabiera się za przygotowanie mojego napoju.

Biorę z talerza wyrośniętą babeczkę i odgryzam kawałek.

Jest jak zwykle pyszna, a ja umieram z głodu. Po chwili zaczynam się opychać jak szop prac w ślepej uliczce.

Cały mój dzień opierał się na węglowodanach i w tej chwili dokładam kolejne centymetry do obwodu ud.

Ale warto.

Przez cały ten czas trzymam też listy, które ze sobą przyniosłam. Wyciągam koperty i przeglądam je uważnie, zostawiając ostatnią na koniec, jak przystało na trujący liść bluszczu, którym jest.

Na adresie zwrotnym widnieje miejscowość Dickinson w Dakocie Północnej.

Niepokojąco mała odległość. Zbyt blisko mojego rodzinnego Dallas – zapyłonego małego miasteczka na północy żyjącego z ropy naftowej, z którym wiąże się zbyt wiele złych wspomnień, kładących się cieniem na dobrych czasach. To miejsce, gdzie wszystkich poza mną spotkała wielka miłość.

– Co to jest? – pyta Eliza, zauważając moją skwaszoną minę.

Kręcę głową.

– Nic takiego. – Rzucam listy na kolana i biorę parujący kubek, który Eliza postawiła przede mną.

– Znów Król Kretynów?

– Może... – Biorę kubek i upijam kolejny łyk przepysznego naparu Elizy, który ogrzewa mi serce. Przesuwam list po blacie w jej stronę. – Wyrzucisz?

– Jasne! Jesteś pewna, że nie chcesz najpierw przeczytać?

Waham się przez chwilę. Ale bez względu na rodzaj bezdusznych przeprosin lub wyjaśnień, które wysłał mi mój były, nie warto narażać się dla nich na cierpienie. Zwłaszcza *dzisiaj*.

– Nie. Nie krępuj się – zachęcam, siorbiąc głośno kawę.

Eliza z szerokim uśmiechem zgniata list w niezgrabną kulkę i wrzuca do różowej skrzynki z paskami brokatu po przeciwnej stronie pokoju, do której zbiera zużyty papier.

– Trafiłam! – Aby uczcić celny rzut, sąsiadka nalewa sobie kawy i siada obok mnie.

– Elizo, spróbuję powiedzieć to delikatnie, ale... nie wydaje mi się, że powinnaś pić więcej kawy. – Klepię ją po ramieniu.

– W tym domu się nie bluźni.

Parskam śmiechem.

– Czy ty w ogóle dzisiaj zaśniesz?

Dziewczyna bierze babeczkę i wgrzyza się w nią z zapałem.

– W końcu tak. Jak ci minął dzień? Poza tym, że pracujesz po nocach jak zombie i dostajesz listy od Króla Kretynów?

– Dzień jak co dzień, tylko dureń inny. – Dodaję z wahaniem ostatnie słowa, przypominając sobie poranną sprzeczkę w kawiarni. – A właściwie to nie do końca prawda. Wpadłam dziś rano w Sweeter Grind na autentycznego czubka...

– O? – Eliza unosi brwi. – Śledził cię? Próbował...

– Tak, poszedł za mną. Ale nie. To nie było typowe molestowanie, o jakim myślisz. Strzelił męskiego focha, bo stałam przed nim w kolejce i kupiłam ostatnią bułeczkę Regisów.

– W takim razie trudno go winić. Bułeczki Regisów są *boskie*.

Wybucham śmiechem. Gdyby Eliza mogła zbudować sobie ołtarz, na którym składałaby ofiary z wypieków niczym szurnięta kofeinowa poganka, to na pewno centralne miejsce zajmowałaby bułeczka Regisów.

– Tak, ale słuchaj dalej – ciągnę. – Kolesiowi kompletnie odwalilo, kiedy się dowiedział, że właśnie sprzedano ostatnią bułkę. Nawrzeszczał na baristkę, a potem próbował odkupić ode mnie drożdżówkę.

– Co takiego? – Eliza zwija się ze śmiechu, mrużąc przy tym oczy w ten swój zabawny sposób, przez co przyłączam się do jej wesołości. – Wow. Powinnaś była rzucić jakąś zaporową cenę, żeby się przekonać, czy ją zaakceptuje. Mogłabyś mieć niezły dzienny utarg!

Zaciskam wargi.

– No cóż... Zaczął się licytować. Doszedł do pięciuset dolarów bez żadnej zachęty z mojej strony.

– Że co? – Eliza rozdziawia usta. – Żartujesz sobie ze mnie? Na pewno dobrze rozumiem? Jakiś przypadkowy gość w Sweeter Grind oferuje ci pięćset dolarów za cynamonkę? Jasna dupa. Ale ci się fartnęło! Przez tydzień uczuwałabym w Le Panier, gdyby to mnie się tak poszczęściło.

– Jest jeden problem. – Odgryzam kolejny kawałek babeczki i przeżuwam go, poważnie się zastanawiając nad stanem swojego zdrowia psychicznego. – Nie przyjąłam tych pieniędzy.

Oczy Elizy niemal wyskakują z orbit. Klepie się w udo tak mocno, że trzęsie jej się kubek z kawą.

– No co ty! Dlaczego?

– No bo nie. Ten facet potrzebował lekcji pokory. Zjawia się w trzy-częściowym garniturze, w którym wygląda jak model, i żąda ostatniej cynamonki tylko dlatego, że chodzi i żyje? Bo jest bogaty? Sama nie wiem, to po prostu chore. Ktoś musiał mu dać nauczkę.

– Aha. A ty, panno Poe, akurat przypadkiem zwróciłaś uwagę na jego garnitur?

Otwieram usta, żeby coś jej odpowiedzieć, ale nie wydobywają się ze mnie żadne słowa.

– Dakota. Zrezygnowałaś z pięciu stówek i z okazji na ognisty flirt z bogatym przystojniakiem, którego już nigdy więcej nie zobaczysz? – Eliza wyciąga rękę i delikatnie pstryka mnie w czoło. – Na pewno dobrze się czujesz? To znaczy, czy masz *pewność*, że obłęd Edgara Allana nie jest dziedziczny?

– Daj spokój. Jestem z nim bardzo daleko spokrewniona. – Przewracam oczami. – Poza tym tamten gość nie flirtował. Zachowywał się okropnie. Był napastliwy i ciągle podwyższał ofertę, to co miałam zrobić? Na jego oczach odgryzłam duży kawałek cynamonki, żeby wbił sobie do tego pustego neandertalskiego łba, że w żadnym wypadku nie odkupi ode mnie bułki. Bogactwo nie czyni z ciebie boga.

Sąsiadka wzrusza ramionami.

– Dostajesz piątkę z etyki. Serio, ale ja bym wzięła te pięćset dolców.

– Posyła mi zakłopotany uśmiech.

– Mnie też bardzo kusiło, ale ten facet musiał dostać nauczkę. Naprawdę.

– Ale dlaczego akurat ty musiałaś mu ją dawać?

Wzruszam ramionami.

– Bo miałam okazję – wzdycham. – No dobra, bo sprawiło mi to przyjemność. Chciałam poprawić sobie humor.

– No tak, zapomniałam, że minął rok od... no jasne. – Jej twarz łagodnieje. – Miałaś zły dzień, a bułkowy psychol stanowił łatwy cel. Nie szkodzi, moja droga. Każdy idiota, który jest gotowy zapłacić tak dużo za cynamonkę, w końcu by tego pożałował. Na pewno już nigdy więcej go

nie zobaczysz, a dzięki tobie zaoszczędził pięćset dolarów. Jutro jest nowy dzień. Poczujesz się lepiej.

– Mam nadzieję, że masz rację – stwierdzam ponuro.

– Czy to w ogóle możliwe, żebyś obudziła się bardziej wkurzona? – Eliza mruga do mnie.

– Elizo, nie – odpowiadam ze śmiechem.

– No dobra, spoko. W takim razie sama widzisz. Jutro musi być lepszy dzień, bo gorszy być nie może.

– Już jest znacznie lepiej z twoimi babeczkami w brzuchu – mówię jej, dojadając muffinkę.

– Jak myślisz, skąd król kretynów wziął twój adres, jeśli mogę spytać? Czy twoja poczta jest przekierowywana tutaj?

– Na pewno nie jest. Pewnie zapytał kogoś w miasteczku. Mówiłam ci, że w Dallas plotki bardzo szybko się rozchodzą. Kiedy w zeszłym roku ten przystojny mechanik został pomyłony ze świnią, a w końcu zaręczył się z moją koleżanką Shelly, wszyscy miesiącami o tym gadali.

– No pewnie! To może opowiesz mi coś więcej na temat tej rozmowy o pracę, którą masz nagraną?

Spełniam jej prośbę, dopijając kawę, a potem siedzę jeszcze u Elizy do pierwszej w nocy.

Całkiem niezłe zakończenie mojej antyrocznicy.

Pod koniec wieczora jestem wdzięczna, że czuję się znacznie lepiej niż rok temu.

Eliza potrafi zdziałać cuda, i to nie tylko za pomocą swojej kawy.

Mam jedynie nadzieję, że mi się poszczęści i w końcu dostanę pracę, dzięki której odzyskam wolność.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

DLACZEGO NIKT NIE DOŁĄCZA OSTRZEŻENIA DO BUŁECZEK CYNAMONOWYCH?

Dakota Poe miała zły dzień. Taki, że pocieszyć ją mogła jedynie ogromna cynamonka z grubą warstwą lukru. Udało jej się kupić ostatnią, co wzburzyło stojącego za nią w kolejce seksownego przystojniaka. Nieznajomy nie potrafił przyjąć do wiadomości, że tego dnia nie kupi pachnącej drożdżówki. Obsesowo zażądał od Dakoty odstąpienia przysmaku za absurdalną kwotę. Zachowywał się jak desperat. Odmowa doprowadziła go do furii, czym sprawił dziewczynie sporo satysfakcji. Dakota sądziła, że więcej nie spotka tego aroganckiego bufona. Myliła się. Spotkała go już następnego dnia, podczas rozmowy o pracę. Okazał się jej przyszłym szefem.

Arogancki bufon nazywał się Lincoln Burns i był władcą imperium modowego. Zgodził się zatrudnić Dakotę tylko dlatego, że była najlepszą kandydatką, jednak nie miał zamiaru puścić w niepamięć upokorzenia, które przeżył w cukierni. Szybko się przekonał, że dziewczyna jest świetna w swoim fachu. Ostre sprzeczki wkrótce zmieniły się w flirt, a niechęć w fascynację. I wtedy przedstawił Dakocie kolejną propozycję. Z pewnych względów potrzebna mu była dziewczyna, najlepiej narzeczona, choć Lincoln nie planował się żenić. Śliczna, inteligentna Dakota świetnie się do tej roli nadawała.

Tymczasem granica między grą a prawdziwym uczuciem bywa ulotna...

NICOLE SNOW jest autorką bestsellerów z listy „Wall Street Journal” i „USA Today”. Jej miłość do pisania rozwijała się, gdy wymyślała sceny miłosne podczas przerw na lunch. Zadebiutowała w 2014 roku i od tego czasu dąży do perfekcji w tworzeniu postaci burkliwych samców alfa o złotym sercu, niewiarygodnego suspensu i mnóstwa poruszających do żywego scen.

● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK



EDITIO.PL

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-289-1035-5



9 788328 910355

cenat: 49,90 zł